

Marya Toczyńska Segeny.

BEZ STERU

Powieść.

7 W tej chwili zadzwoniono do przedpokoju i Bogucki zerwał się prędko z kanapy, podszedł do Janki i szepnął rozkazującym głosem:

– To pewno Ludwik. Proszę cię więc, nie wyrwij się z czymś podobnym przy nim, bo popsujesz wszystko, rozumiesz. Pierwszy i ostatni raz ci to przypominam... ja nie jestem wieczny... a gdyby nawet, to na posadzie mojej nie wiele budować można... Isia dorasta, pomyśl o tem, a zresztą i mnie się jakiś spokój na starość należy.

Tyle było naiwnego egoizmu w słowach Boguckiego, że rozbroiły one zupełnie Jankę. Z pewnem, litośnym współczuciem spojrzała na ojca i rzekła łagodnie.

– Bądź spokojny ojcze, nie wspomnę o niczem podobnym przy panu Lisiewicz. Mnie również zależy teraz na tem małżeństwie.

Twarz Boguckiego rozpoznała się.

Do pokoju wszedł jak zawsze zamaszycie Lisiewicz.

– Cóż to widzę, konferencyja jakaś – zawołał wesoło. A czy chociaż z jakim dobrym skutkiem dla mnie?

– Właśnie, właśnie Ludwiczku – odparł rozpromieniony Bogucki. – Ciesz się chłopie. Janka zdecydowała się nareszcie, bo tak ją umiałeś przekonać, że sama...

– Co słysze! Wielkie Bogi! Panna Janina tak łaskawa dla mnie.

Podsłoczył do Janki i pochwycił jej rękę, składając na niej głośny pocałunek.

– Rzeczywiście, uważałam, że czas już wyjaśnić tę sytuację panie Ludwiku – odezwała się Janka panując nad drżeniem głosu. – I jeżeli pan chce, jestem gotowa w każdej chwili zostać paną żoną. Lekkie drgnięcie ust wskazywało tylko jej wzruszenie kiedy wymawiała te słowa, ale całe zachowanie ichnęło jakąś równowagą i spokojem, które przebijają się i w oczach patrzących swobodnie i śmiało.

– Ah! panno Janino, jesteś najcudowniejszą z kobiet, jakie kiedykolwiek znałem! – unosił się Lisiewicz. Będzie z nas para, jakiej nie było jeszcze na świecie. I kiedyż to pani moja stanie się moja własnością.

Wzrok, jakim obejmował Jankę, brał ją już w swoje posiadanie i zależność. Odczuła to Janka i dreszcz niepokoju wstrząsnął jej ciałem. Spuściła oczy ku ziemi nia chcąc poraz drugi spotkać tego spojrzenia i wymówiła zimno.

– Sądzę, że będzie można wszelkie formalności załatwić wkrótce. Niech się pan z ojcem rozmówi, tak będzie najlepiej. Co do mnie, zastosuję się do tego, co panowie uradzicie. Pozwolisz ojcze, że pójdę uprzedzić mamę. Nie wie jeszcze o niczem.

– A gdzie jest pani Bogucka? – zapytał Lisiewicz.

– Na górze, w lokalu Stowarzyszenia. Dziś właśnie wypadł na nią dyżur biurowy.

– Oh! zdaje się, że te dyżury codziennie wypadają – zaśmiał się głośno Lisiewicz. – Przyszła moja teściowa nie wiele będzie mieć czasu wracania się między nas, z czego się bardzo cieszę.

– Oh! bądź spokojny Ludwiczku – stanął w obronie żony Bogucki. – Moja żona nikomu wody zamącić nie potrafi. Czy prędko wracasz Janka?

– Koło siódmej. Chciałam jeszcze pójść do pani Anny. Możecie panowie porozmawiać spokojnie. Wracając, wstąpię po Isię.

– Do pani Anny? – podchwycił Bogucki podejrzliwie. A co ty masz z nią wiecznie do gadania. Ludwiczku zwróć też uwagę po ślubie na te przyjaźnie kobiece, bo to wcale niedobre dla młodych mężatek.

– Eh! ja się tam niczego nie boję. Jak tylko panna Janina zostanie moją żoną, to tylko moimi oczami patrzeć będzie i zapomni o wszystkich dawnych panieńskich przyjaciółkach.

– Pani Anny nie zapomnę nigdy – odparła spokojnie, ale stanowczo Janka. Odkąd ją poznałam tu, w Krakowie, okazuje mi tyle serca,

że chciałabym zawsze tem sercem się jej wdzięczyć. Do widzenia panie Ludwiku.

Skinęła głową od drzwi i wyszła.

W kilka minut później biegła szybko ulicami miasta do mieszkania pani Anny. Jesień już była i od błoni pełzły długie pasma mgły, spowijając smutkiem jakimś rzędy szarych kamienic, które zda się malały i kulily się pod tem zimnem dotknięciem.

Jakaś melancholia i senność zapadała nad miastem, przytłaczając chód przechodniów, gasząc blask oczów, przyciszając głosy, które jakby niechętnie wypływały z piersi tłoczonych nieznanym ciężarem. Na plantach ogołocone już w części drzewa, sypały martwym plonem żółtych liści i jedynie gromady wróblu napuszone i wiecznie żarłocznych z krzykliwym świergotem uganiały po asfalcie bruku za niewyszukanym żerem.

Fala wspomnień ogarnęła Jankę, kiedy znalazła się w dwóch zacisznych pokojach pani Anny. Tu, w tym saloniku umeblowanym z wytwornym gustem i prostotą, jaśniejącym siecią delikatnych firanek u okna i zielenią rozlicznych krzewów i palm, poustawianych artystycznie na wysmukłych stolikach, spotykała się tak często z Jerzym! Tu, prowadziła z nim długie, wyczerpujące rozmowy, wprowadzające ją w światy nieznane jej dotąd, w których dusza jej rozkwitała całą pełnią młodych pragnień i pożądań.

– Jakże dawno nie byłeś u mnie Janko? – zabrzmiał głos niski, serdecznym wyrzutem brzmiały.

Pani Anna Giżycka, czterdziestokilkuletnia kobieta, o siwiejących lekko włosach szła ku niej, witając życzliwym uśmiechem.

Owdowiała w bardzo jeszcze młodych latach, żyła ze skromnej pensji i prac literackich, pietyzmem otaczając wspomnienie męża, którego kochała jedyną, głęboką miłością.

– Tak, dawno nie byłam u pani – szepnęła Janka. – I gdyby pani wiedziała, z czem przychodzę dzisiaj...

Pani Anna pociągnęła ją na kanapkę i przypatrzyła się jej uważnie.

– Domyślam się – rzekła i ciemne rozumne jej oczy posmutniały nagle. – Domyślam się Janko! Wychodzisz za Lisiewicza, czy tak?

Janka milcząc skinęła głową.

– Oczekiwałam tego, wiedziałam, że się tak w końcu stać musi, a przecież ta wiadomość jest dla mnie bardzo przykra. Janko? Powiedz, czy naprawdę nie było innego wyjścia? Nie mogłaś czekać dłużej?

– Nie mogłam.

Głos Janki załamał się i oczy zabłysły ponurym jakimś żalem i rozpaczą.

– Biedny pan Jerzy! – wybiegło mimowoli z ust pani Anny.

– Oh! niech mi pani o nim w ten sposób nie mówi, pani Anno! przez litość, niech pani tak nie mówi – jęknęła Janka zakrywając twarz rękami. Czy pani sądzi, że ja nie biedniejsza od niego! że mnie ten krok łatwo przychodzi. A kiedy pomyślę, że on mnie potępi, zawiedzie na mnie... i zapomni, to te reszki sił, jakie mam, zamierają we mnie. Ale co miałam robić, pani Anno, co miałam robić! Położenie u nas z dniem każdym staje się gorsze!

– I jesteś pewna, że tem poświęceniem uratujesz rodzinę? – zapytała poważnie pani Anna, patrząc ze współczuciem na zmienioną twarz Janki.

– Tak, jestem pewna, chcę być pewną, uczynię wszystko, aby tak się stać mogło.

Silne, niezłomne postanowienie ożywiło całą jej postać. Na ustach osiadł wyraz zaciętości i upor.

– Nie dopuszczę do tego, aby się Isia zmarowała. Rodzicom starczy pensja ojca. Isia zajmę się sama, ona musi skończyć liceum i mieć na przyszłość chleb w ręce.

– I twój przyszły mąż ma ci w tem pomóc?

– Tak, ojciec twierdzi, że pan Lisiewicz ma bardzo dobrą posadę, a oprócz tego kapitał jakiś. On Isię lubi i zdaje się, nie jest złym człowiekiem.

– A no, to trudno! – wymówiła z westchnieniem pani Anna. Widocznie inaczej być nie mogło! Życie nie zawsze układa się tak, jak tego pragniemy... ja cię zupełnie rozumiem Janka, i kto wie, czy nie uczyniłabym to samo, będąc na twoim miejscu. Ale jak to przyjmie pan Jerzy? On nie uznaje takich kompromisów ży-

ciowych. Wie, czego chce i zdarza do tego uparcie, nie patrząc na przeszkody, jakie po drodze spotkać może. Dla niego będzie to cios głęboki.

– Pani Anno, moja droga pani Anno – rzuciła się Janka do rąk Giżyckiej. – Cicho, cicho, nie mówmy o tem! Ja chcę zapomnieć... Mnie nie wolno już teraz myśleć o tem! Pani do niego napisze, wytłumaczy, on musi zrozumieć i przebaczyć. Niech tylko nie potępia mnie, bo to już byłoby za wiele. On młody, całe życie ma jeszcze przed sobą... on zapomni...

Gluche, długo powstrzymane łkanie wybiegło z piersi Janki.

Rzuciła się w róg kanapy, skuliła jak małe dziecko, niepomna na nic, tylko na ten ból, który zmógł ją całą i uczynił bezsilną, na tę przemożną tęsknotę, którą napróżno w sobie zagłuszyć chciała, a która wybuchała bezlitosna i nieubłagana...

Wieczór był już całkiem zapadł, kiedy Janka uspokojona i wzmocniona znowu mądrymi słowami pani Anny dzwoniła do mieszkania koleżanki Isi.

Zaraz w przedpokoju uderzył ją niemiłe gwar pomieszanych, krzykliwych głosów.

– Panna Isia jest tu jeszcze? – zapytała służącej, która przyszła jej otworzyć.

– A jest – odparła – Bawią się tam aż miło. Pani gdzie wyszła, a panienka nasza pospraszala sobie koleżanki i różnych panów...

Janka nie czekała dalszego objaśnienia i szybko weszła do pokoju skąd ją gwar dobiegał.

Ale zaraz na progu niezdecydowana, zdumiona. W pierwszej chwili nawet się dobrze zorientować nie mogła, bo gęsty obłok gryzącego dymu zasłonił jej oczy. W końcu doszła kilka postaci siedzących w niedbałych pozach na szerokiej kanapie, a pomiędzy niemi Isię, wspartą o jakiegoś wybladłego studenta z papierosem w ustach. Przed nimi na krzesłach, rozrzucone były flaszki i wypróżnione już kieliszki. Na wejście Janki nikt się nie ruszył, tylko drugi jakiś młody człowiek, brzdąkający na mandolinie, wpatrzył się w nią przymrużonemi oczami i grać przestał.

– Isiu, proszę cię, przyszedł, po ciebie – odezwała się Janka, z trudem hamując gniew, który w niej zbierał.

– Oh! Isia jeszcze nie pójdzie – zabrzmiał z kanapy energiczny protest. – Prawda, że nie pójdziesz Iska? Odprowadzimy cię potem całą bandą.

– Pani widocznie jest pod kuratelą – odezwał się ironicznie student, na którym wspierała się Isia. A ja myślałem, że z pani już dusza wyzwolona z niewolnictwa.

– Powijaki nie tak łatwe do zrzucenia – zaśmiał się młody człowiek z mandoliną.

– Isiu! słyszałaś? Ubieraj się zaraz i chodźmy! – zawołała już surowym głosem Janka.

Isia leniwym ruchem podniosła się z kanapy. Oczy jej sennie przed chwilą błysnęły teraz żywym ogniem. Gładkie czoło ściągnęło się gniewnym marszem.

Wysmukła, zgrabna dziewczyna stanęła za nią i wyzywająco spojrzała na Jankę.

– Dlaczego nam pani Isię zabiera? – zapytała zuchwale. Jej tu lepiej jak w waszym filiśterskim domu! Czy zazdrości jej pani tej chwilki rozrywki?

– Nie uważam, aby takie rozrywki potrzebne jej były – odparła z naciskiem Janka, patrząc z niesmakiem wokoło siebie.

Oh! niechże pani nie udaje niewiniątka – odcięła ostro Hela, koleżanka Isi. Każdy szuka rozrywek według potrzeb swojej duszy, a dzięki Cogu minął już czas, kiedy nasze dusze drutowano przemocą różnymi głupimi przesadami, w które już teraz dziecko dziesięcioletnie nie wierzy. I skoro matka moja...

– Matka pani może robić co się jej podoba i wychowywać panią według swoich przekonań, ale ja nie pozwolę, aby Isia przejmowała się tak zwanymi postępowymi zasadami pani i gdybym była wcześniej o tem wiedziała...

– No, Isko, wstąp lepiej od razu do klasztoru! – zaśmiała się ironicznie Hela, bo zgłupiejesz całkiem przy takiej katońskiej opiece...

Isia nic nie odpowiedziała. Włożyła prędko kapelusz i płaszcz i nie kiwnąwszy nawet nikomu głową na pożegnanie, wściekła, wybiegła z mieszkania.

(Ciąg dalszy nastąpi).